

PIEKARA

JACEK

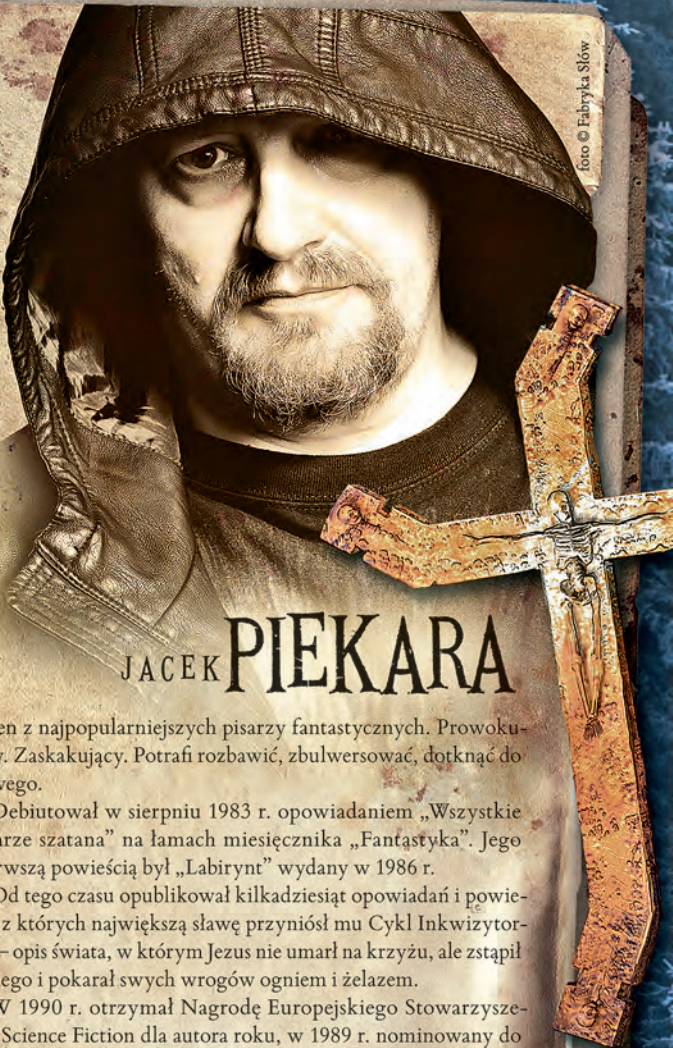
Ja, inkwizytor

Przekłete
krainy



fabryka słów

www.fabrykaslow.pl

A portrait of Jacek Piekara, a man with a beard and mustache, wearing a dark leather hood. A large, ornate, rusted metal cross is positioned over his right shoulder and chest. The background is a textured, aged parchment-like surface with a blue, frosty border at the top and bottom.

JACEK PIEKARA

Jeden z najpopularniejszych pisarzy fantastycznych. Prowokujący. Zaskakujący. Potrafi rozbawić, zbulwersować, dotknąć do żywego.

Debiutował w sierpniu 1983 r. opowiadaniem „Wszystkie twarze szatana” na łamach miesięcznika „Fantastyka”. Jego pierwszą powieścią był „Labirynt” wydany w 1986 r.

Od tego czasu opublikował kilkadziesiąt opowiadań i powieści, z których największą sławę przyniósł mu Cykl Inkwizytorski – opis świata, w którym Jezus nie umarł na krzyżu, ale zstąpił z niego i pokarał swych wrogów ogniem i żelazem.

W 1990 r. otrzymał Nagrodę Europejskiego Stowarzyszenia Science Fiction dla autora roku, w 1989 r. nominowany do Nagrody im. J.A. Zajdla.

Jako redaktor naczelny czasopisma „Fantasy” otrzymał w 2005 r. nagrodę Złoty Meteor.

Fanatyk historii, wytrawny kucharz i miłośnik adrenaliny.

JACEK
PIEKARA

Ja, inkwizytor

Przekłete
krajny

Ilustracje
Paweł Zaręba

fabryka słów®

Lublin – Warszawa

CYKL ŚWIAT INKWIZYTORÓW

Płomień i krzyż – tom 1

Płomień i krzyż – tom 2

Płomień i krzyż – tom 3

CYKL JA, INKWIZYTOR

Ja, inkwizytor. Wieże do nieba

Ja, inkwizytor. Dotyk zła

Ja, inkwizytor. Bicz Boży

Ja, inkwizytor. Głód i pragnienie

Ja, inkwizytor. Przeklęte krainy

Ja, inkwizytor. Kościany Galeon

Ja, inkwizytor. Sługa Boży

Ja, inkwizytor. Młot na czarownice

Ja, inkwizytor. Miecz Aniołów

Ja, inkwizytor. Łowcy dusz



Rozdział drugi

Dom więdźmy



Wieczorem, zgodnie z nakazem księżnej powtórzonym mi przez Andrzeja, byłem gotowy na przejażdżkę. Wszedłem na mur i spoglądałem na mgły ścielące się w wieczornej szarówce. Sinymi klębami wiły się leniwie nad polem i sięgały aż po rzekę, której nurtu nie było nawet widać spoza zasłony. Z drugiej strony, od rzeki, powinienem widzieć las. Wysokie szczyty potężnych jodeł ciągnące się setkami mil na zachód, północ i południe. Ale nie widziałem nic poza mgłą. Gdyby w tej mgle maszerowała wroga armia, nie zobaczyłbym jej również; gdyby w tej mgle stały demony przybyłe z piekielnych otchłani, ujrzałbym je dopiero wtedy, gdy rozwarłyby paszcze przy mojej twarzy.

– Inkwizytorze – usłyszałem wołanie Andrzeja – możecie schodzić.

Siedział na koniu obok księżnej, a przed nimi i za ich plecami znajdowało się sześciu konnych żołnierzy.

Trzech z przodu i trzech z tyłu. Ludmiła miała na głowie stalową misiurkę z opadającym aż na ramiona czepcem kolczym. Odziana była w gruby płaszcz, lecz byłem pewien, że pod to okrycie również założyła kolczugę. Nie widziałem jej jeszcze w takim stroju i nawet z odległości kilkunastu kroków ciężko było się zorientować, że jest kobietą i księżną, a nie żołnierzem, zwłaszcza że nie było widać jej włosów, gdyż hełm kończył się nad samymi brwiami, a kolczy czepiec osłaniał również usta.

Zbiegłem ze schodów, by księżna nie musiała czekać (na razie i tak żołnierze kręcili korbą przy bramie, by podnieść kratę), i dosiadłem konia.

– Widzę, że jedziemy na wojnę – zauważyłem.

Księżna nie raczyła nawet zwrócić się w moją stronę.

– Tutaj zawsze jesteśmy na wojnie – odparł Andrzej, a po wyrazie jego twarzy poznałem, że z całą pewnością nie jest zachwycony faktem, iż musi brać udział w tej eskapadzie.

Krata podniosła się, wierzeje uchyliły się z potępieńczym zgrzytem i ruszyliśmy we mgłę. Była już ona tak gęsta, że co prawda widziałem księżną jadącą po mojej prawej ręce i widziałem zad konia stąpającego z jeźdźcem tuż przede mną, ale nie dostrzegałem ani Andrzeja, ani głowy i pleców żołnierza na przedzie.

– Parszywa pogoda na wycieczki – mruknąłem sam do siebie, a mgła wessała moje słowa.

O dziwo, Ludmiła usłyszała jednak, co mówię. Albo miała wyjątkowo wyczulony słuch, albo mgła płatała figle i jedne dźwięki głużyła, a inne niosła dalej i silniej, niżby człowiek się spodziewał.

– Z mgły płyną również pożytki, inkwizytorze – powiedziała.

– A to ciekawe jakie – odparłem tak szybko, iż nie zdążyłem nawet pomyśleć, że może nie jest to właściwa forma zwracania się do władczyni.

Ludmiła jednak albo nie zwróciła uwagi na moją bezpośredniość, albo nie uznała jej za niewłaściwą.

– Może i my nie widzimy wiele, ale i nas nie widać, prawda? – zapytała. – A teraz siedź już cicho – dodała ostrzejszym tonem.

Dopiero po tych słowach zauważyłem, że ani żołnierze, ani Andrzej nie odzywali się, owszem, słychać było czasem parsknięcie zwierzęcia i oczywiście odgłos młaskania kopyt w błocie. Ale jak na konną podróż dwięciorga ludzi, jechaliśmy, można powiedzieć, w niemal kompletnej ciszy. Żaden z jeźdźców nie miał też w dłoniach pochodni czy latarni, więc byliśmy nie tylko cisi, lecz również niewidoczni.

A więc Ludmiła bała się zamachu (i to bała się go nie na żarty), a także uważała go za całkiem prawdopodobny. W sumie nic dziwnego, zważywszy na fakt, że chroniący ją wołch, czyli potężny kapłan i magik ruskiego obrządku, został zamordowany za pomocą czarnej magii. Razem z nim zginęła służąca mu dziewczyna, ktoś, kogo można byłoby nazwać, stosując pojęcia cywilizowanego świata, wizjonerką lub mistyczką. Ludmiła była przekonana, że teraz ona sama stanie się następnym celem nieznanego czarnoksiężnika. Że napastnik zniszczył tarczę chroniącą księżną, aby zabrać się za nią samą. Niestety, ku mojej rozpaczyci to właśnie ja miałem zostać kolejną tarczą władczyni. Liczyła na moje umiejętności

inkwizytorskie (w sumie słusznie, bo przecież gdyby nie skromność, to miałbym wiele powodów, by chęć się moimi przewagami) i zdecydowała się mnie uwięzić (oficjalnie stosując oczywiście łagodniejsze pojęcie „wynająć”, które jednak w rzeczywistości oznaczało tak naprawdę to samo, co uwięzić). Na rok, może dwa, jak zapewniała moich towarzyszy. Jednak równie dobrze teraz, kiedy byłem wydany na jej łaskę i niełaskę, mogła z tego roku lub dwóch zrobić dziesięć, dwadzieścia, a nawet całą wieczność. I nikt nie mógł jej ani tego zabronić, ani zmusić, by zmieniła decyzję. No, może władny do tego byłby jedynie wielki książę Nowogrodu Włodzimierz, lecz musiałby mieć ważne powody do podobnej ingerencji. Tak czy inaczej, wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że w Peczorze zapanował groźny czas dla księżnej. Lecz jednocześnie owa księżna uznała, że dzisiejszy wieczorny wyjazd jest tak ważny, iż trzeba zaryzykować własne bezpieczeństwo. Co takiego czekało nas na końcu tej podróży? Jak długo miała ona trwać i po jakiego diabła w ogóle żeśmy wyjechali z fortecy? Nie żeby ta forteca była oazą bezpieczeństwa, ale jednak za murami czułem się pewniej niż na otwartej przestrzeni, w której oprócz sinej mgły widziałem zaledwie niewyraźne kształty ludzkich i zwierzęcych postaci.

A jeśli z tej mgły obserwują nas oczy, dla których nie stanowi ona żadnej przeszkody? A jeśli ktoś patrzy na nas i śledzi każdy nasz ruch? A jeśli zbliża się coraz bardziej i bardziej? Bezszelestnie stawiając stopy w błotnistej mazi, niesłyszalny i niewidoczny, lecz tym bardziej przez to groźny? A jeśli przekonamy się o jego obecności dopiero wtedy, kiedy poderżnie nam gardło? Jeśli JA przeko-

nam się o jego obecności dopiero wtedy, kiedy poderżnię MI gardło? Zamrugałem oczami i zagryzłem usta, by nie dać się ponieść wyobraźni, która w tej mglistej, mokrej ciemności zdawała się pleść gęstą, lepka nić niczym pająk czyhający na ofiarę. Dotknąłem palcami szyi i karku i pożałowałem, że są osłonięte zaledwie kołnierzem, a nie tak jak szyja i kark księżnej kolczym kapturem. Przyznam, że czułbym się wówczas o wiele pewniej, i obiecałem sobie, że jeśli podobne przejażdżki kiedyś jeszcze się powtórzą, na pewno będę przezorniejszy niż teraz.

Zastanawiałem się, kto nas prowadzi i jak ten ktoś znajduje drogę w ciemności i we mgle. Czy na pewno jedziemy tam, gdzie trzeba, czy też okaże się za godzinę lub dwie, że kręciliśmy się w polu? Tutaj jednak powinieniem mieć zaufanie do księżnej i jej żołnierzy. W końcu ta dzika i wroga ludziom kraina wychowała ich, a więc zapewne również wiele nauczyła. To, że ja byłem tutaj ślepy niczym kret wyrzucony na południowe słońce, wcale nie oznaczało, że wszyscy cierpią na tę dolegliwość w tym samym lub podobnym stopniu. Zresztą może żołnierze Ludmiły nie musieli kierować się tylko wzrokiem? Może, podobnie jak marynarzom na morzu, wystarczał im czasami zaledwie zapach powietrza, by wiedzieć, gdzie się znajdują? Cóż, tak czy inaczej, zmysł wzroku jest chyba królem wszystkich zmysłów. A cenić potrafimy go tym bardziej, gdy zostaliśmy pogrążeni w ciemności. I jeśli ciemność ta dodatkowo pełna jest dziwnych odgłosów, to szacunek dla oczu wzrasta jeszcze bardziej.

Coś zaskrzeczało przeraźliwie nad moją głową, jakby metalem piłowano po szkłe, i aż się wzdrygnąłem, słysząc ten dźwięk.

– To jery – wyjaśniła księżna i usłyszałem ulgę w jej głosie.

– Co to są jery? – spytałem.

– Takie małe ptaszki – dobiegł mnie głos Andrzeja, choć jego samego nadal nie widziałem spoza mgły. – Jezu Bogu dziękować – dodał z prawdziwym uczuciem.

– Czemu to dobrze, że ptaszki? – Mimowolnie skrzywiłem się, gdyż ten głośny, nieprzyjemny dźwięk rozległ się znowu i znowu miałem wrażenie, że to coś, co je wydawało, obojętne, czy ptak, czy wrzeszcząca zmora, przeleciało tuż nad moją głową.

Ale nikt mi już nie odpowiedział, więc musiała mnie tylko pocieszać myśl, że moi towarzysze najwyraźniej wiedzieli więcej. A skoro oni, znający tutejsze obyczaje i tutejsze tereny, poculi się bezpieczniej, to i ja nabrałem większej pewności siebie. Choć nadal nie rozumiałem, w jaki sposób upewniło ich o bezpieczeństwie skrzeczenie ptaków.

Nagle nasza kawalkada zatrzymała się, a z przodu, z pierwszego szeregu, usłyszałem głos. Brzmiał niczym skrzypienie starego drzewa na wietrze i chociaż nauczyłem się już rozróżniać niektóre ruskie słowa (oczywiście ogromnej większości z nich nadal kompletnie nie rozumiałem), to w tym wypadku nie byłem w stanie wychwycić żadnej nawet znajomo brzmiącej sylaby. Ale w przeciwieństwie do mnie porucznik księżnej, który prowadził naszą wyprawę, najwyraźniej świetnie rozumiał, co się do niego mówi, gdyż usłyszałem, jak odpowiada owemu głosowi.

– To ja, Ludmiła! – krzyknęła księżna pełnym głosem, a Andrzej machinalnie przetłumaczył mi jej słowa. – Dajże nam wolną drogę!

Potem uderzyła konia piętą i podjechała w stronę pierwszego szeregu. Przez chwilę widziałem jej plecy, potem jeszcze zad wierzchowca, aż wreszcie zniknęła cała we mgle i w mroku. Później słyszałem tylko, jak mówi coś stanowczym tonem, tak jakby się z kimś sprzeczała. Po chwili nastała cisza.

– Inkwizytorze, zsiadaj z konia i za mną! – usłyszałem wreszcie rozkazujący głos księżnej. – Andrzeju, idziesz z nami. Reszta zostaje.

Zsunąłem się z siodła i podałem wodze jeźdźcowi z trzeciego szeregu, który zbliżył się do mnie. Wraz z Andrzejem przeszliśmy na czoło naszej małej wyprawy, a tam stała już księżna, sądząc po wyrazie twarzy, zagniewana, a dwa kroki przed nią stało coś, co przypominało kupę burych szmat z siwymi wiechciami na szczycie. To coś, ni to mężczyzna, ni to kobieta, ni to cudak, ni to dwunożny zwierz, miało opuszczoną nisko głowę, stąd nie było widać nawet kawałka twarzy. Zresztą może ta istota wcale jej nie miała, a tylko pysk lub mordę? Kto wie co lęgnie się w tych przeklętych ruskich lasach i na tych przeklętych ruskich bagnach?

– A co to za plugawa pokraka? – zapytałem Andrzeja.

Szarpnął się nerwowo, pokręcił głową i położył palec na ustach.

– Nie gadajcie byle czego! – warknął, ale tak przytłumionym głosem, że ledwo go usłyszałem.

Potem sięgnął we mgłę, wziął coś do ręki i następnie podał mi wyciągniętą z tumanu zdobycz. Był to koniec liny.

– Będziemy się wspinać? – burknąłem.

– Trzymajcie się tej liny jak wizji zbawienia – rozkazał kąśliwym tonem. – Puściecie, a przepadniecie we mgle i zaraz bagno was wessie.

Ach, więc tak miała wyglądać nasza przeprawa! Najwyraźniej tylko przybysz znał drogę prowadzącą w miejsce, do którego chciała dotrzeć Ludmiła, i najwyraźniej droga ta wiodła przez pułapki. Oczywiście trzęsawiska takie jak na Rusi były niespotykane nigdzie indziej, rozległe, dzikie i niezbadane, ale przecież u nas, w świecie cywilizowanym, również mieliśmy jeszcze bagna i bagniska. I wiedziałem doskonale, jak niebezpieczne dla człowieka nieznanego szlaków są próby sforsowania mokradeł. A już w nocy oraz we mgle spacer po grzęzawiskach były proszeniem się o pewną zagładę. Dlatego wiedziałem, że podanej mi liny będę rzeczywiście trzymał się tak, jak przykazał mi Andrzej – niczym wizji zbawienia. Oczywiście my, inkwizytorzy, jesteśmy zawsze gotowi, by z modlitwą na ustach i z wdzięcznością w sercu ponieść śmierć za wiarę, ale jednak jest różnica pomiędzy bohaterską śmiercią z orężem i krzyżem w dłoni, kiedy człowiek staje twarzą w twarz z demonicznymi hordami, a pomiędzy banalnym, pospolitym oraz nieprzynoszącym nikomu korzyści utopieniem się w smrodliwym błocku. I jeżeli na pierwszą ewentualność byłem gotowy każdego dnia i o każdej godzinie (zajując oczywiście, iż tak precyzyjne narzędzie jak wasz uniożony sługa zostanie zaprzepaszczone), to na drugą zgadzać się nie miałem najmniejszego zamiaru.

Ruszyliśmy powoli w gąszcz, a drzewa zamknęły się nad nami tak ściśłym całunem, że nie widziałem już nie tylko pleców Andrzeja, ale nawet własnych dłoni trzymających linę. Smród bagniska, czyli smród butwiejących



i gnijących roślin, który przed ścianą lasu był całkiem wyraźny, teraz już niemal obezwładniał. Inkwizytorzy są przyzwyczajeni do różnego rodzaju miazmatów i wyziewów, zwłaszcza tych, które produkuje ludzkie ciało poddawane torturom, ale nawet mnie zrobiło się niedobrze w tej zatechłej puszczy. Nie mogłem już wytrzymać (zwłaszcza że, przypominam wam, moi mili, Pan raczył obdarować waszego uniżonego sługę niezwykle czułym powonieniem, czym co prawda zazwyczaj się nie chwalę, ale o czym aż zbyt często przypominają mi parszywe okoliczności), więc starałem się oddychać samymi ustami. Ale mimo to zaczęło mi się kręcić w głowie. Czułem się, jakby kazano mi wejść do dusznego kurnika, gdzie na grzędach leżały setki rozbitych, zgniłych jaj, a obok nich truchła kur napuchnięte od gazów gnilnych. I czułem się tak, jakby wszystkie te ścierwa w jednej chwili wybuchły wprost w moją twarz, oblepiając ją breją złożoną z flaków, strzępów napęczniałego mięsa i burej, galaretowatej krwi.

I wtedy nabrałem pewności, że otacza mnie nie tylko zwykły smród. On oczywiście istniał w wyjątkowo nieprzyjemnej, zdegenerowanej i wzmocnionej formie, ale oprócz niego były tu więcej nawet niż wyczuwalne ślady czarnej magii. A więc komuś, kto mieszkał w tej głęsi, nie wystarczały naturalne puszczańskie przeszkody, lecz zdecydował się zwiększyć swoje bezpieczeństwo, stosując mroczną sztukę. Cóż, w Cesarstwie, widząc skutki czynu tak haniebnie odrażającego, wezwałbym natychmiast braci inkwizytorów i ogniem prawdziwej i świętej wiary oczyścilibyśmy teren wraz z mieszkającymi na nim oraz odpowiedzialnymi za pogańskie praktyki ludźmi. Tutaj i w tym wypadku mogłem tylko zacząć się modlić. Tylko

i aż, gdyż modlitwa szkolonego inkwizytora ma moc nieporównanie większą niż pacierze zwykłego człowieka. Wzywałem siłę, która dzięki łasce Pańskiej przepełnia każdego głęboko wierzącego członka Świętego Oficjum. Nie o słowa tu chodzi, nie o recytacje formuł takich czy innych, nie o symbole i znaki (choćby były najświętsze), lecz o szczere wyznanie miłości do Pana i o bezgraniczną ufność, jaką pokładamy w Jego potędze. Czy odmawiać będziemy przy takiej okazji „Ojcze nasz”, czy „Credo”, czy „Antyfonę”, czy inwokację do Świętego Michała Archanioła – nie ma to żadnego znaczenia, gdyż w modlitwie wznoszonej przeciw złu nie o wierność słowom chodzi, lecz o wierność sercu. I nie o zaufanie do rytmów takich czy innych, lecz o zaufanie do niezmiernie mocy Pana. Moc, dzięki której każdy inkwizytor obleka pancerz pomagający mu ostać się przeciw podstępny zakusom diabła. Modliłem się z zamkniętymi oczami, jedynie w myślach i poruszając bezdźwięcznie ustami, gdyż nie w mowie, jak cymbał brzmiącej, skrywa się prawdziwa wierność dobrego chrześcijanina. Modliłem się i im bardziej pogrążałem się w hymnie wysławiającym wielkość i słowa Pana, tym lżej mi się szło i tym swobodniej mi się oddychało powietrzem, które co prawda nadal śmierdziało zgnilizną, ale już nie dusiło ani nie powodowało zwidów. A kiedy otworzyłem oczy, ujrzałem, że mgła wcale nie jest już taka gęsta, jak była jeszcze niedawno, a wszystkie przedmioty i ludzie nabrali nadzwyczajnej ostrości, jakby ustawiono ich w słoneczny dzień na górskim szczycie.

– Inkwizytorze... – usłyszałem nagle stłumiony i spłoszony głos Andrzeja.

– Co takiego? – Obróciłem twarz w jego stronę.
– Wasze oczy...
– Co z moimi oczami?
– Błyszczą niczym gwiazdy – rzekł z pełnym obawy,
lecz i szacunku zadziwieniem.

Ludmiła usłyszała te słowa, bo zerknęła na mnie
przez ramię, po czym uśmiechnęła się.

– Czyli to dzięki tobie nie będę dziś rzygać – stwier-
dziła. – Znakomicie. Starucha będzie zachwycona – za-
chichotała, po czym z powrotem odwróciła głowę.

– Starucha? – zapytałem Andrzeja.

Machinalnie otulił się szczelniej płaszczem.

– Sami zobaczycie – burknął tylko. – Chyba jeste-
śmy już blisko.

Stanęliśmy na skraju polany. O dziwo, nie zalegała
tutaj mgła i w świetle pobłyskującego zza gałęzi księży-
ca świetnie widzieliśmy każdy szczegół wznoszącej się
przed nami budowli. Wyglądała niczym pochodząca
z innego świata, wysrebrzona i wyostrzona na tle nie-
wyraźnego, zasnutego oparami, ciemnego lasu. Bardziej
jednak zastanowiło mnie, że dom ten stał na litej skale
wypiętrzającej się jakieś trzy stopy nad bagnisko i równej
niczym stół. Skądkolwiek pośrodku trzęsawiska wzię-
ła się ta skała, to trzeba przyznać, że stworzyła idealne
miejsce do wzniesienia budynku, któremu nie groziło, że
pewnego dnia utonie w smrodliwej brei.

– Niezwykłe – powiedziałem.

Andrzej skinął głową.

– Mówią, że matka Olga zbudowała swój dom na
wielkim kamieniu, który spadł z nieba tak dawno temu,
że żaden człowiek tego upadku nie pamięta.

Matka Olga, pomyślałem. A więc czarownica. Wiedźma. Adeptka mrocznej sztuki. Cóż, w Cesarstwie miałem styczność z kobietami parającymi się czarnoksięstwem i kilka z nich poprowadziłem na spotkanie z błogosławionymi i oczyszczającymi płomieniami stosu, więc byłem ciekaw, jak będzie się zachowywać ta, którą za chwilę spotkam.

Domostwo, gdyż trudno ten budynek nazwać chatą, było zdumiewająco duże i porządnie zbudowane. Ściany wzniesiono z grubych poprzecznych bali przetykanych słomą, a dach z półokrągłych balików, a nie z samej słomy czy darni. Jedynie dziwne mogło się wydawać, iż w tym budynku nie było żadnych okien. Z początku sądziłem, iż zasłonięto je okiennicami, ale nie. Ich po prostu nie było. Na pewno taki sposób konstrukcji zapewniał dużo większe bezpieczeństwo w tej dziczy i na tym odludziu. A poza tym we wnętrzu pozbawionej otworów (oprócz jedynych wąskich i niskich drzwi) budowli z całą pewnością łatwiej przetrzymać zimowe mrozy.

Dziwny, karłowaty człowiek, którego nazwałem wcześniej pokraką (co tak obruszyło Andrzeja), zastukał mocno kołatką. I już za chwilę drzwi się uchyliły, zostawiając szparę tak wąską, że wiedziałem, iż odziana w kolczugę i płaszcz księżna, kobieta solidnej przeciwieństwa budowy, będzie miała kłopoty, by się w niej pomieścić. Ludmiła najwyraźniej też to zrozumiała, gdyż zawołała coś gniewnym tonem, a wtedy z wnętrza usłyszeliśmy śmiech i wejście nieco się poszerzyło. Wchodziliśmy do ciemnej sieni po kolei, najpierw księżna, potem ja, Andrzej i wreszcie ów tajemniczy pokrak, który zatrzasnął za nami drzwi, po czym usłyszałem, jak zamyka je na skobel.

Przeszliśmy długim, wąskim korytarzem przed kolejne drzwi, które Ludmiła tym razem pchnęła bez zastanowienia i bez pytania. Ukazało się przed nami jasno oświetlone pomieszczenie. Duży, czysty pokój z wybiealoną podłogą, tak wyszorowaną, że niemal lśniąca. Przy ścianie stał wielki piec, szeroki i niski, o dziwo, wyglądał, jakby nie pochodził z Rusi, ale z jakiegoś cywilizowanego kraju, tak był porządnie zrobiony. Na kaflach leżały piernaty, materace, poduszki i poduszcзки. Wszystkie haftowane, zdobione, wyszywane we wzory i obrazki. Nie przypominał ten dom siedziby czarownicy, a w każdym razie nie przypominał jej w taki sposób, jakiego oczekują pocziwe ludziska, które nasłuchiwały się za dużo bajęd o pajakach, nietoperzach, zwojach czarciego ziela, wilczych jagodach, zasuszonych żabach czy czarnych kotach oraz psach śledzących z ukrycia każdy krok przybysza pałającymi oczami. Aha, i o krukach łopoczących skrzydłami i kraczących głuchym, cmentarnym głosem. Tymczasem w tej komnacie nawet ukryć się nie byłoby gdzie, bo kąty były czyste i jasno oświetlone.

A gospodyni? Cóż, gospodyni była stara, miała pomarszczoną twarz (ale raczej przyjemnie pomarszczoną, jak pieczone jabłuszko, a nie jak mięso, które za długo leżało w wilgoci) i siwe kudły. Wcale jednak nie była odziana w rozpadające się, plugawe łachmany, jak wypadaloby ubierać się wiedźmie mieszkającej na bagnisku, lecz w solidnie utkaną (i sprawiającą wrażenie czystej) obszerną suknię, czy może nawet lepiej powiedzieć: w coś na kształt krótkiego habitu o rozszerzonych rękawach. Na stopach miała futrzane buty, a na piersi dziwny naszyjnik z nanizanymi na sznur kosteczkami zwierząt.

A ściślej mówiąc, żywiłem nadzieję, że są to tylko koscierzki zwierząt...

– Ach, to on! – zawołała, wskazując na mnie paluchem.

– Witaj, matko Olgo – powiedziała z uszanowaniem księżna. Potem odwróciła się do Andrzeja i coś do niego rzekła po rusku.

– Księżna nakazała, bym wam tłumaczył wszystko, co tu zostanie powiedziane – poinformował mnie Andrzej o życzeniu władczyni.

– Tak, to właśnie on – kontynuowała Ludmiła, z powrotem obrócona już w stronę wiedźmy. – Przyprowadziłam go, żebyś i ty go obejrzała, i żeby twoje dziewczęta go obejrzały, i żebyś pomogła nam, mateczko, najlepiej, jak tylko umiesz.

Gospodyni pokiwała głową, nie odrywając ode mnie wzroku.

– Słyszałam, jak się modli – zachichotała. – Za słaby jest, by przerwać moje pajęczyny, ale potrafił się całkiem zgrabnie zasłonić. Ma moc. Będziesz miała z niego pożytek...

Zrozumiałem, że kiedy stara mówi o „pajęczynach”, ma na myśli zaklęcia, które utkała na bagnach i które miały chronić jej dom. Oczywiście potrafiłbym siłą tych czarów zniweczyć, ale musiałbym mieć więcej czasu. No i trzeba przyznać, że naprawdę była biegła w czarnoksięskiej sztuce. Tym lepiej, skoro jak właśnie słyszałem, miała stanąć po naszej stronie i nam pomagać. Bo muszę to powiedzieć wyraźnie: wasz uniżony i pokorny sługa nie należał do ludzi, którzy w obcym kraju, w kraju rządzącym się odmiennymi obyczajami i prawami, zaczę

krzyczeć: „Spalić czarownicę, spalić czarownicę!”, kiedy tylko rzezoną czarownicę zobaczą na własne oczy. Zapal może jest i dobry, ale wierzcie mi, mili moi, że przezorność oraz rozum są zazwyczaj jeszcze lepsze. Zwłaszcza kiedy jest się samotnym wędrowcem otoczonym przez wilcze stado.

– I ja mam taką nadzieję. – Ludmiła poważnie skinęła głową. – Bo w nieszczęściach, jakie mnie spotkały, pilnie potrzebuję pomocy.

– Tak, tak. – Starucha usiadła na wyłożonej kilimem skrzyni i gestem pokazała księżnej, by spoczęła naprzeciwko niej. – Złe rzeczy się dzieją po bagnach i lasach. Twój Jegor i jego dziewczyna to tylko początek nieszczęść... – Czarownica najwyraźniej świetnie wiedziała o śmierci starego wołcha i jego pomocnicy i najwyraźniej ją również ta śmierć zaniepokoiła.

Ludmiła zacisnęła usta.

– Jak temu zaradzić?

– Zrobimy, co zrobić możemy, a czego zrobić nie możemy, tego nie zrobimy, bo tak na świecie rzeczy się układają, nie inaczej... – wzruszyła ramionami wiedźma. – Tak jak chciałaś i tak jak prosiłaś, dam ci jedną z moich dziewczyn, niech połączy się z inkwizytorem. – Zerknęła w swoją stronę i uśmiechnęła się lekko. – To powinno cię przez chwilę obronić. Może chwilę dłuższą, może chwilę krótszą, a może tak dobrze się zdarzy, że całkiem długą... Po wołchów posłałaś?

– Posłałam, matko Olgo. Ale jeśli któryś miałby przybyć, musi mieć zgodę księcia Nowogrodu. A ksiązę mnie nienawidzi, od kiedy zmarł mój małżonek, świętej pamięci ksiązę Dymitr.

Jasne, że jej nienawidził, pomyślałem, skoro Dymitr był jego krewniakiem, stronnikiem i przyjacielem, a ona kazała go zagłodzić na śmierć w żelaznej klatce.

– Ech... – Starucha skrzywiła się i machnęła ręką. – Tacy wy już jesteście. Żaby bijące się w kałuży i niewiedzące, że w ich stronę pełźnie żmija.

– A pełźnie? – zapytała szybko Ludmiła.

– Ano pełźnie, ano pełźnie – mruknęła wiedźma. – Pojiesz coś, dzieciно? – zmieniła nagle temat.

Ludmiła potrząsnęła głową.

– Pięknie dziękuję – odparła.

Starucha westchnęła i ku mojemu zdziwieniu, bo niezgodnie z ruskim obyczajem, nie namawiała już więcej na poczęstunek.

– Ano pełźnie złe z bagien – wróciła do pytania księżnej. – Skąd się wzięło, po co wylazło... – Wzruszyła ramionami. – Mnie to nie obchodzi, Ludmiło. Moja chata z kraja...

– Kiedy nas chce zeżreć, to i ciebie, matko, w końcu ukąsi – przerwała jej ostrym tonem Ludmiła.

Starucha znowu machnęła ręką.

– Peczora padnie, Moskwa padnie, Nowogród padnie, Kijów padnie, a moja chata zostanie – odparła lekceważącym tonem.

Zdziwiło mnie w tej wypowiedzi nie to, że wiedźma miała tak nadzwyczajne wyobrażenie o swojej wszechmocy, gdyż skromność i adekwatna ocena własnych możliwości były cechami rzadkimi również u czarownic w Cesarstwie. Zdziwiło mnie natomiast, że starucha tak dobrze zna geografę. Bo gdzie Peczora, a gdzie Kijów? Kogo na trzęsawiskach z końca świata mógł obchodzić Kijów?

– Kiedyś i ciebie, i twoich bagno również pochłonie – nie zgodziła się Ludmiła.

Czarownica wzruszyła ramionami.

– Może tak, może nie, ale nie zdarzy się to ani nagle, ani szybko.

Znowu spojrzała na mnie i zachichotała.

– Twój inkwizytor sądzi, że jestem starą wariatką, że lubię się przechwalać i chełpić. Myśli, że gdyby go tak zostawić ze mną samego, to bardzo łatwo dałby sobie radę... A może i jakiś zgrabny stosik by dla mnie zbudował? – Przyglądała mi się ze złośliwym wyrazem twarzy.

Ja przypatrywałem się jej obojętnie i nie opuściłem wzroku, kiedy mierzyła mnie spojrzeniem. Nie widział bowiem nikt na świecie, by prawowitny inkwizytor cofał się przed czarownicą. A czy ja bym jej dał radę, czy ona dałaby radę mnie, gdyby przyszło co do czego, to tego nikt pod ludzkim niebem nie potrafiłby teraz ustalić z całkowitą pewnością. Wiedziałem jedno: wiele krwi by się polało, zanim ktokolwiek zatańczyłby na grobie inkwizytora.

Starucha odwróciła wzrok i zaśmiała się znowu chichotem suchym jak szelest liści na wietrze, ale tym razem też jakby mniej wesołym i mniej przyjemnym.

– Uważaj na niego – zwróciła się do Ludmiły, mówiąc w najoczywistszy sposób o mnie. – Gdyby nie to, że może wrócić do swoich tylko z twoją pomocą i twoim pozwoleniem, to w łyżce wody by cię utopił.

Nie było to stwierdzenie szczególnie odkrywczе, zwąwszy, że byłem na Rusi więźniem. Żaden więzień nie lubi przecież swoich strażników, chyba że na wolności czekają go jeszcze większe kłopoty niż w niewoli. Ja, aby

wrócić do mojej wolności, potrzebowalbym przemierzyć tysiące mil po wrogim, dzikim kraju, więc zrozumiałe, że musiałem jakoś pogodzić się z więzieniem. Ale nie miałem zamiaru kochać strażników, zwłaszcza że księżna Ludmiła sama mi sprokurowała niewolniczy los, szantażując moich towarzyszy. Czy jednak „utopiłbym ją w łyżce wody”? Moi mili, Ludmiła i zarządzana przez nią kraina, los samej Ludmiły i jej poddanych interesowały i obchodziły mnie tylko dlatego, że sam teraz stanowiłem część tego świata. Gdybym mógł uciec, to cała Ruś razem z jej książętami, bojarami, mieszczanami i włościanami mogłaby się bezpowrotnie zapaść pod ziemię. Albo mogłaby sobie istnieć. Aby tylko nie musiała istnieć w mojej pamięci. Krótko mówiąc, los Rusi i Rusinów był mi doskonale obojętny. Ani nie żywiłem do nich sympatii, ani nienawiści. Najbardziej chciałbym nie musieć o nich nigdy myśleć.

– Przyzwyczajai się – zapewniła pobłażliwym tonem Ludmiła. – I do mnie się przyzwyczajai, i do naszego kraju się przyzwyczajai. A oddam go nie prędzej, aż mi się znudzi albo nie będzie mi już potrzebny.

Byłem pewien, że to zdanie zostało wypowiedziane na mój użytek, po pierwsze, by mnie pognać, a po drugie, po raz kolejny wbić mi w głowę, że mój los zależy tylko od dobrego humoru Ludmiły. Cóż, i bez przypominania naprawdę świetnie o tym wiedziałem.

– Mam teraz pięć dziewcząt – rzekła wiedźma tym razem już poważnie. – Pięć młodych i utalentowanych stworzeń. Każda mogłaby łatwo zostać przewodniczką wołcha. A jak zobaczą, że zamiast starego, brudnego dziada dostaną takiego młodzieńca jak ten tutaj – po-

kazała mnie ruchem głowy – to będą piszczeć z radości jak szczeniaczki do matczynego sutka... – W głosie tłumaczącego jej słowa Andrzeja usłyszałem rozbawienie.

Ludmiła gestem właściciela poklepała mnie po pośladku.

– To prawda, że to ładny chłopiec. A słyszałam też, że potrafi całkiem zręcznie zadowolić kobietę. – Obróciła na mnie kpiący wzrok. – Myślisz, że nie wiem, jak tarmosiłeś tę waszą czarnoskórą ślicznotkę? Pół Peczory słuchało nocami jej krzyków.

Oczywiście, że wołałbym być znany z niezwyklej świętości oraz z mocy zwalczania herezji, czarnoksiężników oraz demonów, ale miano mistrza *ars amandi* było epitetem, który mogłem z pokorą dźwigać i nie sądziłem, by przynosił mi powody do wstydu. A rzeczywiście w Peczorze miałem przyjemność obcować cieleśnie z piękną Nontle, znaną w cywilizowanym świecie pod imieniem Hildegardy Reizend, i rzeczywiście wszyscy o tym wiedzieli. Zresztą na małym, znudzonym dworze księżnej Ludmiły wszyscy wiedzieli wszystko o wszystkich... Ale teraz Nontle zmierzała wraz z misją inkwizytorów w stronę Nowogrodu, a ja siedziałem tutaj. W chacie na bagnach. Co za parszywy los!

Wiedźma spojrzała na mnie i wyszczerzyła się.

– Wygląda niczego sobie, ale czy da radę moim dziewczynom, to jeszcze zobaczymy. Sama wiesz, Ludmiło, że one, jak się rozhasają, to potrzebują tych rzeczy więcej i częściej niż wierzba wody.

Usłyszałem oczywiście, że w głosie Andrzeja znowu pobrzmiewa rozbawienie. Ale jednocześnie zauważyłem, że zerknął na mnie chyba z czymś na kształt zazdrości.

No cóż, na razie nie byłem pewien, czy będzie mi czego zazdrościć. To, że dziewczyny były młode i magicznie uzdolnione, wcale nie oznaczało, że będą urodziwe lub zgrabne. Rzeczywiście, biedna Swietłana, którą zniszczyła czarna magia skierowana na jej opiekuna, wołcha, była stworzonkiem całkiem przyjemnym dla oka (przynajmniej jakby ją domyto i uczesano), ale czy dziewczęta, które zaraz pokaże nam starucha, potrafią jej dorównać?

– A ty co? – Wiedźma obróciła na mnie kpiące spojrzenie. – Zastanawiasz się, czy aby na pewno będą urodziwe te moje dziewczuszki? Brzydkie nie są. – Skrzywiła usta. – A ty przynajmniej nie będziesz miał kłopotu z wyborem, bo też nic tutaj od ciebie nie będzie wcale zależało...

No cóż, do tego akurat zdążyłem się na Rusi przyzwyczaić, a miałem wrażenie, że przyzwyczajając będę się coraz bardziej.

– Zresztą czymże jest piękno? – Wzruszyła ramionami. – I ja byłam kiedyś młoda i choć tego wcale teraz nie widać, ludzie mówili też, że byłam bardzo piękna. – Wydawało się, że starucha na moment posmutniała. – Kraśawica, tak o mnie gadali, a ja nawet nie pamiętam, jak wtedy wyglądałam. Czy wiesz, Ludmiło... – obróciła zgaszony wzrok na księżną – że za nic w świecie nie pamiętam nawet własnej twarzy sprzed lat? Usiłuję sobie przypomnieć i nic... Jedynie pustka.

W głosie staruchy zabrzmiał nieudawany smutek, a ja zastanawiałem się, czy został on w większym stopniu wywołany utratą pamięci, czy też utratą urody.

– Ja przynajmniej mam portrety, które mi malowano – odparła księżna. – Na starość, jeśli jej dożyję, właśnie one będą mi przypominały, jak kiedyś wyglądałam.

Może nie pięknie... – westchnęła. – Ale na pewno przy najmniej młodo.

Cóż, żałobne pienia tych dwóch kobiet nad utraconą młodością i urodą naprawdę niewiele mnie obchodziły, natomiast bardzo ciekaw byłem podopiecznych wiedźmy, które miały się pokazać i z których jedna, jak rozumiałem, miała mnie sobie wybrać za towarzysza. Oczywiście wolałbym, aby decyzja spoczywała w moich rękach, jednak na razie nic nie zapowiadało, że w ogóle ktokolwiek będzie słuchał moich opinii, a tym bardziej liczył się z moim zdaniem. Nie zamierzałem się jednak buntować. Zły pies, który warczy na pana, tylko dostaje baty za karę, a polecenie i tak prędzej czy później musi wykonać. Więc czyż nie lepiej ominąć niefortunny rozdział zatytułowany „Warczenie oraz baty”? Nas, inkwizytorów, nauczono, że aby osiągnąć ostateczne zwycięstwo, należy czasem zaznać bolesnego upokorzenia. Czyż nie mieliśmy w tej mierze najlepszego przykładu, jakim było postępowanie Jezusa Chrystusa, który wpierw oddał się na cierpienie i pośmiewisko, by potem złamać krzyż swej męki i w bitewnej, świętej chwale wkroczyć do Jerozolimy, zapewniając triumf wszystkim tym, którzy poszli Jego śladem i za Jego przykładem?

– Chodźcie no, dziewczęta! – zawołała starucha silnym głosem.

Potem wskazała palcem środek pokoju.

– Stawaj tu, inkwizytorze – rozkazała.

Posłusznie wystąpiłem dwa kroki do przodu i zatrzymałem się w miejscu, które wskazywała wiedźma. Wtedy uchyliły się drzwi z naprzeciwka i do pokoju rządkiem weszło pięć dziewcząt. Mając w pamięci Swietlanę, która

żyła na dworze Ludmiły i która w dramatyczny sposób zginęła na tym dworze, ugodzona ostrzem czarnej magii, spodziewałem się rozczochranych, półprzytomnych stworzeń odzianych w byle łachmany. A oto pojawiły się jednakowo ubrane w czyste białe gieźla młode kobiety. Wszystkie były domyte i uczesane, wszystkie nieśmiało się uśmiechały i wszystkie miały skromnie opuszczone oczy. Przyznam, że w porównaniu ze Swietłaną, którą przecież miałem okazję doskonale widzieć (i niestety, również powąchać), była to ogromna różnica. I również, co tu dużo gadać, spora niespodzianka. Trzy dziewczyny były jasnowłose, szarookie i na tyle podobne jedna do drugiej, że mogły być kuzynkami lub siostrami. Czwarła była ruda niczym wiewiórka i miała twarz upstrzoną drobnymi piegami, a piąta miała lśniące czarne włosy, ciemną cerę i skośne oczy. Wyraźnie płynęła w niej krew któregoś z jugryjskich szczepów. Wszystkie były zgrabne, średniego wzrostu i raczej ładne, chociaż Jugryjka podobiała mi się najmniej, a ruda wiewióreczka najbardziej.

– Przyjrzyjcie się uważnie temu mężczyźnie – przykazała surowym tonem starucha. – Jedna z was z nim właśnie się połączy i teraz zdecydujemy, która to będzie. Młody jest, silny i ma w sobie moc – zachwalała mnie wiedźma. – A widzę też, że jak będziecie dla niego dobre, to potrafi o was zadbać.

Wiewióreczka zachichotała i spojrzała na mnie zalotnie spod opuszczonych rzęs. Coraz bardziej mi się podobała. Ale w tym momencie zastanowiłem się, co będzie, jeśli nie jedna, lecz dwie dziewczyny zechcą mnie wybrać. Albo trzy? Albo wszystkie pięć, co przecież nie byłoby w sumie niczym zaskakującym, zważywszy na

moje przymioty (zwłaszcza iż zalety te mogły wyrzeć szczególnie silne wrażenie na stworzonkach wychowanych w odosobnieniu). A jak sprawy by się potoczyły, teoretycznie przyjmując tak absurdalną hipotezę, gdyby nie chciała mnie żadna? Jakie wtedy decyzje zostaną podjęte? Czy to starucha samodzielnie wyda werdykt?

– Chcę go dotknąć – odezwała się cichutko jedna z trzech jasnowłosych dziewcząt.

– Śmiało, Nataszko, śmiało – zezwoliła wiedźma pobłażliwym tonem i nawet pokiwała na nią palcem, by dodać jej odwagi.

Dziewczyna zbliżyła się, cały czas nie podnosząc głowy ani nie patrząc na mnie. Podeszła tak blisko, iż czubki naszych butów zetknęły się, a ja poczułem woń jej skóry, włosów i oddechu. Trzeba przyznać, że pachniała nawet dość przyjemnie. Tak jakby ściśniętymi w dłoni świeżymi liśćmi. Wyciągnęła ramiona i przytuliła się do mnie. Teraz już była tak blisko, że gdyby nie fakt, iż miałem na sobie gruby kaftan i płaszcz, to na pewno poczułbym bicie jej serca.

– On jest mój – powiedziała cicho, a ja zrozumiałem te słowa bez pomocy Andrzeja.

W chałupie przez chwilę nikt się nie odzywał.

– Jesteś pewna, dziecko? – zapytała w końcu wiedźma z wyraźnym wahaniem w głosie.

– Pewna, mateczko – odparła natychmiast Natasza, cały czas mocno we mnie wtulona. – Należy do mnie, tak jak słońce należy do dnia, a księżyc należy do nocy.

Starucha znowu milczała przez chwilę.

– A więc niech się stanie, jak ma się stać – zawyrokowała wreszcie uroczystym tonem. – Jesteś jego, Nataszo,

a on jest twój. Pilnuj go, a on upilnuje ciebie. – Odetchnęła głęboko. – Wracajcie do siebie, dziewczęta – nakazała. – I pomóżcie waszej siostrze przygotować się do wyjazdu. No już, puść go – zwróciła się bezpośrednio do Nataszy. – Nigdzie on ci już nie ucieknie – dodała rozbawiona.

Dziewczyna posłuchała jej nakazu, wyzwoliła mnie z objęć i zaraz wraz z towarzyszkami zniknęła za tymi samymi drzwiami.

Przez chwilę wszyscy milczeliśmy.

– To powinna być ta ruda dziewczyna, prawda? – Księżna spojrzała uważnie na gospodynię.

Wiedźma skinęła głową.

– Masz bystre oko, Ludmiło. To naprawdę powinna być Tamara. Przysięgłabym, że to będzie Tamara. Jemu – poruszyła głową w moją stronę – też się całkiem spodobała.

– Dlaczego więc zgodziłaś się na Nataszę?

– Ty wiesz czemu? – Spojrzała na mnie.

Potrząsnąłem przecząco głową.

– Umiesz wędrować po świecie za światem, co? – zapytała.

Przez moment nie byłem pewien, o co jej chodzi, ale wreszcie potwierdziłem.

– Po nie-świecie? – upewniłem się.

– Tak to nazywasz? Niech i tak będzie. Umiesz tamtędy chodzić, co?

– Raczej przemykać dręczony bólem trudnym do zniesienia – odparłem zgodnie z prawdą.

Sam usłyszałem ponury ton w swoim głosie, ale w sumie tej posępności nie można było się dziwić. Podróże

do nie-świata niosły ze sobą nie tylko zagrożenie życia, a może i groźbę zagubienia nieśmiertelnej duszy, lecz również obezwładniający ból. A po wszystkim także chorobę i osłabienie. Nawet nie zdumiało mnie aż tak bardzo, że czarownica potrafiła rozpoznać, iż dysponuję właśnie tą zdolnością, gdyż była naprawdę bardzo, bardzo mocna. Ciekawe, w jakim stopniu by jej to pomogło, kiedy stanęłaby do konfrontacji z dobrze przygotowanym inkwizytorem?

– W świecie za światem coś drgnęło, kiedy dotknęliście jedno drugiego – oznajmiła starucha poważnym tonem. – Pisane jest wam bycie razem, chociaż nie wiem jeszcze dlaczego. – Znowu pokręciła głową. – Przysięgłabym, że to będzie Tamara – powtórzyła.

– A może to drgnięcie nie było zachętą, lecz ostrzeżeniem? – spytałem.

Milczała dłuższą chwilę.

– Podoba ci się? Polubiłeś ją? – nie odpowiedziała na moje pytanie.

– Tamara podobała mi się najbardziej – rzekłem, znowu nie uchylając się przed szczerą odpowiedzią.

– Ech, mężczyźni... – westchnęła czarownica. – Spojrzysz na nich filuternie, zatrzepoczesz rzęsami, uśmiechiesz się słodko, a oni już przebierają nogami, by dostać się do twojego miodu... – Andrzej tłumaczył teraz z wyraźnym rozbawieniem. – Proste z nich stworzenia i żadna z nas, choćby nawet nie za mądra, nie powinna mieć kłopotów, by wziąć ich na smycz i poprowadzić, gdzie sama zechce...

– Tacy oni właśnie są – zgodziła się rozpogodzona Ludmiła.

Nie zamierzałem, rzecz jasna, wtrącać się do dyskusji ani sprzeczać z usłyszanymi opiniami, jednak trudno nie zauważyć, że co dotyczyć mogło zwykłych zjadaczy chleba, ludzi pospolitych, zwyczajnych i ordynarnych, z całą pewnością nie dotyczyło wyszkolonych inkwizytorów, którzy wszelkie pokusy niesione przez świat potrafiliby oceniać, zachowując przy tym chłodny umysł.

Drzwi do pokoju, z którego wcześniej wychodziły dziewczęta, otworzyły się, ale tym razem za próg przeszła tylko Natasza. Miała na sobie wełniany szary płaszcz z odrzuconym na plecy kapturem. Jej jasne włosy spleciono w koronę na czubku głowy, przez co twarz dziewczyny wydawała się jeszcze jaśniejsza i jeszcze delikatniejsza. Zbliżyła się do wiedźmy, przyklękła przed nią i pocałowała ją w rękę.

– Dziękuję ci za wszystko, mateczko – powiedziała i w jej głosie słychać było szczerą wdzięczność. – I dziękuję ci, że mi go dałaś, chociaż wiem, że wcale nie miał on być dla mnie.

Starucha uczyniła nad jej głową znak krzyża, a potem zgmiotła dłoń i ucałowała własną pięść.

– Będzie, co ma być, Nataszko. Ani mniej, ani więcej – rzekła.

– Zobaczę cię jeszcze kiedyś, mateczko?

– Na pewno zobaczysz mnie, dziecko, tam, gdzie wszyscy ludzie kiedyś się spotkają i gdzie dokładnie zobaczą jeden drugiego – odparła poważnie wiedźma. – Ale czy na tym świecie... – Przechyliła głowę, jakby nasłuchiwała. – Tego nie jestem pewna – dodała, a ja usłyszałem w jej głosie wahanie.

Po twarzy Nataszy zaczęły płynąć łzy.

– No już, wstawaj i idź do swojego mężczyzny – rozkazała starucha ostrym tonem. – Nie masz co lamentować. Taki jest nasz los i wszystkie o tym dobrze wiemy.

Dziewczyna posłusznie wstała z klęczek i zbliżyła się do mnie. Miała opuszczoną głowę, więc nie widziałem, czy ciągle płacze. Nie bardzo wiedziałem, co zrobić, więc położyłem jej dłoń na ramieniu.

– Potrafisz jeździć konno? – zapytałem.

Ludmiła i wiedźma, obie równocześnie, tak zgodnie, jakby się umówiły, wybuchły śmiechem.

– Już ona ci pokaże, jak umie dosiadać rumaka! – zawołała starucha.

Andrzej śmiał się również, lecz odpowiedział sam z siebie:

– Zabierzecie ją na swojego wierzchowca i będziecie na nią uważać. Nigdy nie jeździła konno, ale będziemy wolno jechać, więc macie tylko pilnować, żeby nie spadła z siodła.

– Przynajmniej jeden zrozumiał moje pytanie dosłownie, nie metaforycznie – burknąłem.

Obie kobiety zaśmiały się jeszcze głośniej.

– Młode ciała, młode żądze, młode pragnienia – powiedziała wiedźma z wyraźną tęsknotą w głosie. – A ja już nie pamiętam, kiedy ostatni raz byłam na Nocy Przesilenia. Ech... – Machnęła ręką.

– Oj, w Noc Przesilenia to i ja niegdyś tańczyłam do utraty tchu – uśmiechnęła się szeroko Ludmiła i nagle jej twarz złagodniała i odmłodziła o dobrych kilka lat.

– Jestem pewna, że nie tylko tańczyłaś, latawico – zartowała starucha, obnażając spróchniałe trzonki zębów.

– Ano nie tylko. – Księżna uśmiechnęła się jeszcze szerzej. – Krzepkie tam były chłopaki, nie powiem. – Pokręciła głową. – Rano, jak trzeba było wracać, to ledwo nogami powłóczyłam, tak potrafili mnie przemaglować.

Nie byłem pewien, czy to dobrze, iż wraz z Andrzejem słyszymy podobne wspominki z czasów szalonej młodości. Ale być może w ruskich zwyczajach było to coś pospolitego i taka przeszłość nie szkodziła władczyni w oczach poddanych. Zresztą skoro Andrzej tłumaczył mi owe słowa, to znaczyło, że nie widział w nich ani nic zdrożnego, ani nic dziwnego. No cóż, co kraj, to obyczaj. W końcu już rzymscy kronikarze wspominali, że słowiańskie zachowania miłosne różnią się od tych, jakie znamy z krain wchodzących w skład Cesarstwa, a wielu postępków, które w naszych oczach wydają się naganne, tam wcale nie uważa się za grzech. A jeśli już, to za taki, który może być lekko i łatwo wybaczony.

– Idźcie już – rozkazała czarownica. – Załatwiliście ze mną wszystko, co mieliście do załatwienia, i nic tu dłużej po was. Pilnuj jej i bądź dla niej dobry. – Obróciła się w moją stronę. – Bo jak nie będziesz, to dwakroć zło cię spotka...

Przez chwilę jej twarz rozmazała się przed moimi oczami, tak jakby te oczy zaszyły mi łzami. Zamrugalem szybko, ale i tak zrozumiałem, że starucha rzuciła zaklęcie, jakiś rodzaj uroku czy klątwy. Diabli wiedzą, czy skutecznego, czy nie. I Bóg mi świadkiem, że nie wiedziałem, w jaki sposób potrafiła to zrobić tak sprawnie i tak błyskawicznie. Ludmiła i Andrzej potraktowali te słowa, jakby były tylko zwykłym ostrzeżeniem, ale wiedźma wiedziała, że ja wiem, jaka głębia kryje się za

nimi, i uśmiechnęła się do mnie samymi ustami, czy raczej lepiej powiedzieć: skrzywiła wargi w złośliwym grymasie. Potem strzepnęła palcami.

– Wynocha wszyscy – nakazała. – Zmęczona jestem.

Odwróciła się do nas plecami i podeszła do pieca. Zwaliła się z westchnieniem na piernaty.

– Żegnaj, mateczko – powiedziała z uszanowaniem Ludmiła. – Będę miała we wdzięcznej pamięci twoją dobroć.

– Jesteś mi winna przysługę – odburknęła wiedźma. – Wielką przysługę. I lepiej o tym pamiętaj.

– Nigdy nie złamałabym danego słowa, matko Olgo. – W głosie księżnej zabrzmiała uraza.

A kiedy gospodyni się nie odezwała, wszyscy zrozumieliśmy, że naprawdę nic już tu po nas. Poza tym ów pokrak, który nas przeprowadził przez bagniska, otworzył szeroko drzwi i zachrzakał niczym świnia nurzająca ryj w błocie, co miało zapewne oznaczać, że jest gotów do drogi i czeka, by nas zabrać z powrotem.

Kiedy wyszliśmy za chatę, znowu wręczono nam linę. Natasza chciała stanąć za mną, ale zatrzymałem ją łagodnie.

– Będziesz szła między mną a Andrzejem – powiedziałem. – Ja pójdę na samym końcu, żeby dbać, aby nic złego ci się nie przytrafiło...

Dworzanin Ludmiły przetłumaczył moje słowa, a słuchająca uważnie Natasza skinęła głową i uśmiechnęła się do mnie nieśmiało. Potem odezwała się cichym głosem.

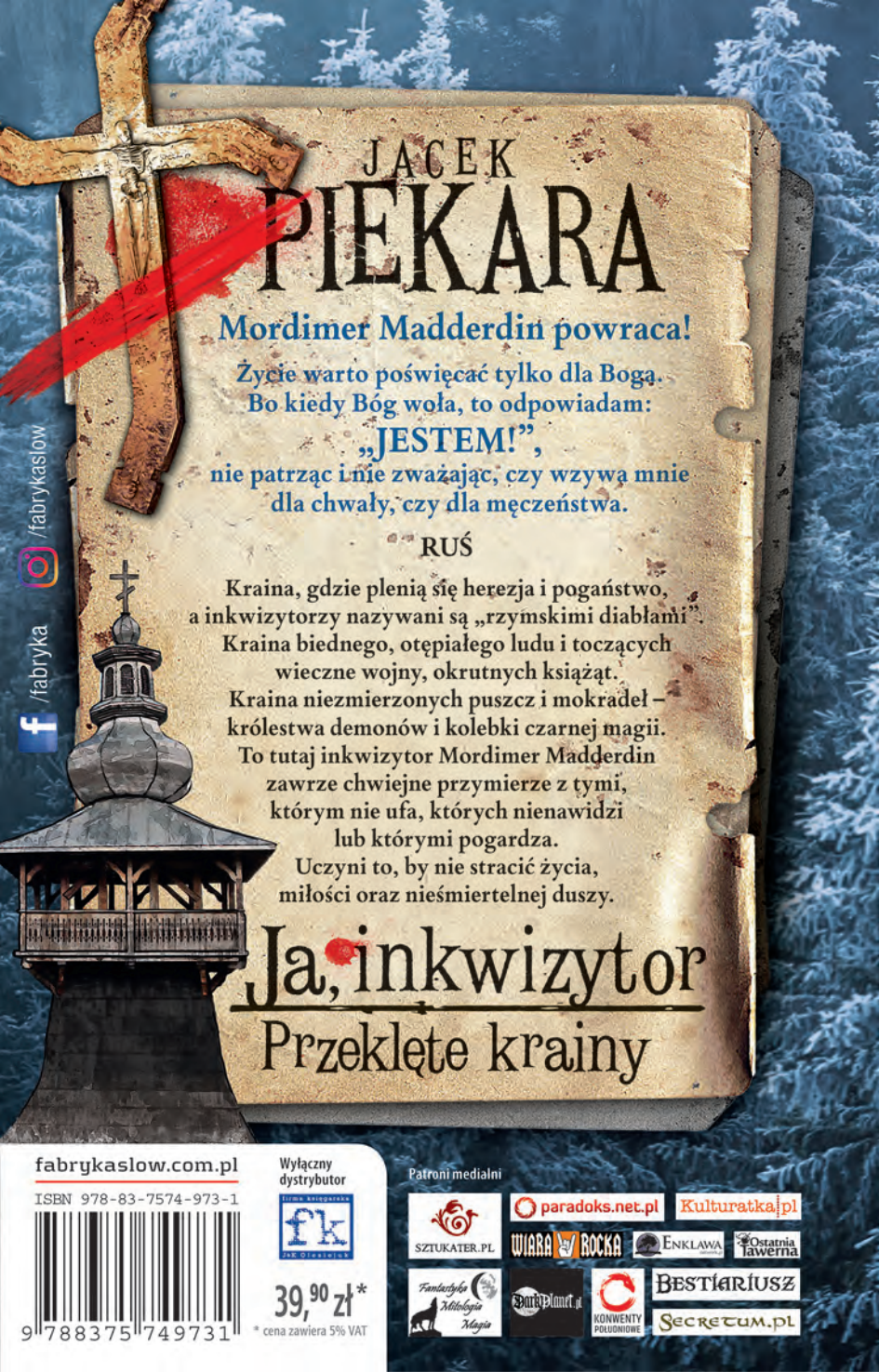
– Mówi, że macie dobre serce – wyjaśnił Andrzej z kamienną miną.

No tak, to właśnie ja: Mordimer Madderdin, nazywany inaczej poczciewiczem, człowiekiem o gołęmbim sercu i zacności duszą.

Premiera
19 czerwca



polub nas
na Facebooku



JACEK PIEKARA

Mordimer Madderdin powraca!

Życie warto poświęcać tylko dla Boga.

Bo kiedy Bóg woła, to odpowiadam:

„JESTEM!”

nie patrząc i nie zważając, czy wzywa mnie
dla chwały, czy dla męczeństwa.

RUŚ

Kraina, gdzie plenią się herezja i pogaństwo,
a inkwizytorzy nazywani są „rzymskimi diabłami”.

Kraina biednego, oślepiałego ludu i toczących
wieczne wojny, okrutnych książąt.

Kraina niezmiernych puszczy i mokradł –
królestwa demonów i kolebki czarnej magii.

To tutaj inkwizytor Mordimer Madderdin
zawrze chwiejne przymierze z tymi,
którym nie ufa, których nienawidzi
lub którymi pogardza.

Uczyni to, by nie stracić życia,
miłości oraz nieśmiertelnej duszy.

Ja, inkwizytor Przeklęte krainy

fabrykaslow.com.pl

ISBN 978-83-7574-973-1



9 788375 749731

Wyłączny
dystrybutor



39,90 zł*

* cena zawiera 5% VAT

Patroni medialni



paradoks.net.pl

Kulturatka.pl

WIARA w ROCKA

ENKLAWA

Ostatnia lawerna



BESTIARIUSZ

SECRETUM.PL